

HANNA GREŃ

ŚMIERTELNA DAWKA

KŁAMSTWO TO TRUCIZNA,
KTÓRA ZABIJA POWOLI



ŚMIERTELNA DAWKA

H A N N A

GRÉN

ŚMIERTELNA DAWKA

Copyright © Hanna Greń, 2021
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2021

Redaktor inicjujący: Adrian Tomczyk
Redaktorka prowadząca: Agata Ługowska
Marketing i promocja: Anna Rychlicka-Karbowska
Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak
Korekta: Joanna Pawłowska, Anna Nowak
Projekt typograficzny i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl
Projekt okładki i stron tytułowych: Pola i Daniel Rusiłowiczowie

Fotografie na okładce:
© Yaroslav Shuraev | Pexels
© Daniel Chen | Unsplash
© Oleksandr Mazur | Shutterstock
Fotografia autorki na skrzydełku: Mateusz Sosna | Ogniskova.pl

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Książkę wydrukowano na papierze Creamy 70 g/m² vol. 2,0
dostarczonym przez **ZiNG** Sp. z o.o.

ISBN 978-83-67054-00-3

CZWARTA STRONA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Prolog

15 lutego 2020, Bystrzyca Wielka

To nie był dobry pomysł. Z każdym krokiem oddalającym ją od zabudowań Klaudyna Poloczek coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że pomysł był zły. Po prostu idiotyczny. Niestety rozumiała to dopiero teraz, gdy znalazła się sama wśród okalających wioskę pól, w dodatku w kompletnych ciemnościach. Starła się iść szybko, lecz co rusz potykała się na nierównościach szutrowej drogi lub wpadała w kałuże, o których istnieniu dowiadywała się dopiero wtedy, gdy cienka warstwa lodu pękała z trzaskiem pod butami, a nogi zagłębiały się w zimnej brei.

Czemu dałam się na to namówić? – wyrzucała sobie w myślach. Angela już pewnie wyleguje się pod kołdrą i nawet o mnie nie pomyśli. Jestem idiotką, przyznała w przypływie samokrytyki. Zawsze dam się wpuścić w maliny, a wszystko przez to, że nie umiem odmówić, kiedy ktoś prosi mnie o przysługę. A potem za to płacę.

Tylko jak mogła powiedzieć „nie”, kiedy w przerażonych oczach przyjaciółki widziała nieme błaganie? Mimo to zawahała się, a wtedy te piękne niebieskie oczy wypełniły się łzami. Plecami Angeli wstrząsnął bezgłośny szloch i tego było już dla Klaudyny za wiele. Nie dość, że przystała na szalony plan umożliwiający zdemaskowanie prześladowcy, to jeszcze w którymś momencie pomysł zaczął jej się podobać. Chichotały jak szalone, wyobrażając sobie konsternację i przerażenie stalkera, gdy ten dowie się, że znają jego tożsamość.

Pierwsza opamiętała się Angela. Zerknęła na zegar w telefonie i trąciła koleżankę w bok.

– Klaudia, już dziewiąta. On może za chwilę przyjść. Zrobisz to?

W jej oczach znów pojawił się lęk i Klaudyna z cichym westchnieniem wstała z wygodnego fotela, by po chwili opuścić pokój. Angela Mirska miała w nim wszystko, o czym tylko nastolatka mogła marzyć, lecz przyjaciółka jej nie zazdrościła. Wolała swój dość biednie urządzony kącik od tych luksusów, gdyż wiedziała, jaką cenę Mirska musi za nie płacić.

Ojciec Angeli od blisko dziesięciu lat przebywał w Belgii, gdzie zajmował bardzo wysokie stanowisko w jakimś koncernie. W Polsce nie pojawiał się wcale; córki także nie zapraszał, za to regularnie przekazywał na konta jej i żony kwoty, które przywykłej do skromnego kieszonkowego Klaudynie wydawały się ogromne.

Plotka głosiła, że Weronika Mirska wcale się nie przejęła wyjazdem męża. Piękna kobieta o wesołym usposobieniu nie narzekała na brak męskiej kompanii, a pełne potępienia uwagi sąsiadek zbywała lekceważącym uśmiechem. Od czasu do czasu wyjeżdżała do Belgii, by stać u boku męża na jakimś ważnym spotkaniu, po czym wracała obładowana zakupami i rzucała się w wir zabawy.

Dzieckiem nie przejmowała się prawie wcale. Najpierw opieka nad córką ją nużyła. Później, gdy Angela podrosła, stała się żywym dowodem na to, że matka nie jest tak młoda, za jaką chciałaby uchodzić, więc Weronika tym bardziej starała się z nią nie pokazywać. Zwłaszcza że dziewczyna piękniała z każdym dniem i mogła stanowić konkurencję.

Tym sposobem Angela całymi dniami przebywała w towarzystwie ciągle zmieniających się opiekunek. Pani Mirska bowiem, sama obojętna wobec latorośli, wychwytywała najmniejszy nawet objaw przywiązania dziewczynki do obcej kobiety i dusiła go w zarodku, odprawiając pracownicę. W tym domu wolno było uwielbiać tylko jedną osobę.

Kiedy córka stała się nastolatką, Weronika zrezygnowała z zatrudniania opiekunki, uznawszy to za zbędną fanaberię. Dziewczyna była już na tyle duża, by móc samodzielnie przyrządzać sobie śniadania i kolacje, a obiady i tak od dawna jadła w szkole. Drobne zakupy także

mogła robić sama, a raz w tygodniu przychodziły siostry Klaja i wykonywały wszystkie niezbędne prace. Jedna sprzątała dom od strychu aż po piwnice, druga w tym czasie jechała do miasta, skąd wracała po kilku godzinach, a samochód aż się ugiął od zgromadzonych w nim zakupów. Po wyładowaniu wszystkich produktów wstawiała pranie i zabierała się do prasowania.

Angela rzadko widywała matkę i jak kiedyś wyznała Klaudynie, wcale nad tym faktem nie ubolewała. Nigdy nie zadzierzgnęła się między nimi bliższa więź, przez co dziewczyna miała dużo lepszy kontakt z siostrami Klaja niż z nią. A jednak kiedy zaczęła dostawać nieprzyzwoite SMS-y, właśnie do niej udała się po radę. Wydawało jej się to oczywiste; nieraz słyszała, że każda matka jest genetycznie uwarunkowana na chronienie swojego dziecka.

Weronika zbyła ją, tłumacząc SMS-y głupimi żartami, przez co rozżalona dziewczyna całkiem straciła do niej zaufanie. Dlatego gdy prześladowania zaczęły eskalować, nie wspomniała jej o tym nawet słowem. Zwierzyła się jedynie przyjaciółce i wspólnie zastanawiały się, jak powstrzymać upartego stalkera. Rozwiązanie problemu wydało się Klaudynie oczywiste, ale gdy Angela poszła za jej radą, spotkało ją jedynie upokorzenie. Wówczas Mirska wymyśliła ten szalony plan.

Prześladowca pojawiał się pod domem Angeli nieregularnie, dlatego dziewczyny nie liczyły na natychmiastowy

sukces. Tymczasem zaczajona za krzakiem ostrokrzewu Klaudyna już po niecałych pięciu minutach czekania zobaczyła ciemno odzianą postać przekradającą się na posesję Mirskich. Mężczyzna, raczej młody, wnioskując ze szczupłej sylwetki i sprężystych ruchów, przystanął za iglakiem rosnącym naprzeciwko okna sypialni Angeli. Najpierw przez chwilę manewrował telefonem, potem sięgnął do rozporka, by za moment opuścić spodnie.

Był tak zajęty sobą, że nie zwrócił uwagi na dziewczynę skradającą się z aparatem fotograficznym w ręce. Wstrząsnęła się z obrzydzenia, słysząc jego głośnie jęki, wśród których roz różniła słowa: „Jeszcze, Angela. Jeszcze. Tak mi dobrze. Dojdź ze mną. Teraz!”. Ostanie słowo Klaudyna potraktowała jako nakaz kierowany do siebie. Wycelowała aparat w masturbującego się mężczyznę i sekundę później ciemność rozjarzyła się błyskiem flesza. Stalker odruchowo odwrócił głowę i zastygł w bezruchu niczymając na drodze schwytany w sidła światła reflektorów, a Klaudyna natychmiast to wykorzystała. Flesz zdążył rozbłysnąć jeszcze trzykrotnie, zanim mężczyzna zdobył się na jakąś reakcję. Ze stłumionym okrzykiem skoczył w jej stronę... i runął jak długi, zaplątany we własne spodnie. Zanim udało mu się wstać, spanikowana dziewczyna była już na szutrowce prowadzącej w stronę lasu, chociaż plan zakładał, że ma zawrócić do domu przyjaciółki.

Przebiegła jeszcze kilkanaście metrów, nim pojęła, że nikt jej nie goni. Wtedy przystanęła i wystukała do Angeli krótkiego SMS-a: „Udało się. Wracam do domu”. Potem ruszyła w dalszą drogę.

Początkowo napędzał ją triumf, lecz w miarę jak zbliżała się do ściany drzew, narastał w niej strach. Mężczyzna pojawiał się zawsze po dwudziestej pierwszej, kiedy ruch w okolicy małał niemal do zera. Założyły, że jest przyjezdny, ale przecież mogły się mylić. A to oznaczało dużo większe niebezpieczeństwo, bo niewykluczone, że znał ten skrót.

– Czemu nie poradziłam się Mariusza? – jęknęła głośno.

Przystanęła, żeby poprawić spadający z ramienia pasek aparatu, zamarudziła, gmerając w torebce, wreszcie ruszyła przed siebie. Pocieszała się, że jeszcze tylko ten kawałek, gdzie droga się rozchodzi, i będzie bezpieczna. Jedna odnoga prowadziła do lasu, druga, znacznie szersza, w stronę zabudowań. Tam nikt nie ośmielił się jej zaatakować.

Znowu się potknęła. W akcie desperacji włączyła latarkę w komórce, tłumacząc sobie, że tamten mężczyzna na pewno jej nie ściga, a idąc w kompletnych ciemnościach, sama sobie wyrządzi krzywdę. Światło dodało jej otuchy, już nie czuła się tak całkiem opuszczona, zdana na łaskę i niełaskę nocnego mroku.

Nagle gdzieś niedaleko rozległ się szelest, jakby ktoś przedzierał się przez krzaki. *Ale tu nie ma żadnych krzaków*, przemknęło jej przez myśl. Szelest się powtórzył. Dochodził z prawej, narastał...

To trawa! – nagle uświadomiła sobie oczywistą prawdę, lecz zrozumienie przyszło za późno. Mężczyzna wykorzystał fakt, że trawa pokrywająca łąkę zwiędła i nie tamowała kroków, i przebiegł na przelaj, znacznie skracając sobie drogę. Był już tuż-tuż, jeszcze chwila, a ją dopadnie...

– Proszę, niech mnie pan nie bije! – Zwróciła ku niemu twarz wykrzywioną lękiem. – Oddam panu ten aparat...

– Dobrze – stwierdził krótko, mrukliwie, lecz i tak odniosła wrażenie, że gdzieś już słyszała ten głos.

Złapał jej rękę w żelazny uścisk i pociągnął w stronę lasu. Szła bezwolna, nie próbując się wyrwać. Wiedziała, co ją czeka, wiedziała też, że nie ma szans się obronić. Był zbyt silny.

Na skraju lasu przystanął i kazał jej usiąść pod drzewem, sam zaś wziął aparat, wyjął z niego kartę i złamał w palcach. Szczątki schował do kieszeni i pochylił się nad Klaudyną. Przymknęła powieki.

– Nie zgwałcę cię, jeśli tego się boisz. Nie podniecasz mnie. Nie jesteś nią. – Niespodziewanym ruchem podciągnął jej rękaw kurtki, pozostawiając na nim brudne

ślady palców. – Spokojnie. Nie szarp się, wcale nie będzie bolało. To tylko zastrzyk. Zaraz zaśniesz, a kiedy się obudzisz, po mnie nie będzie już ani śladu. Rozumiesz?

Skinęła głowę. Później poczuła ukłucie w zgięciu łokcia, a po chwili świat wokół niej zawirował. Zasnęła, lecz nie był to zwykły sen.

Rozdział 1

Nóż w sercu

16 lutego 2020, Bystrzyca Wielka

– Cholerny rzęch!

Marek Krzyżanowski trzasnął drzwiami leciwego pojazdu tak mocno, że aż echo poniosło, a u sąsiadów przebudzony ze snu pies zaniósł się ochrypłym jazgotem. Mężczyzna pogroził mu pięścią, lecz kundel niespecjalnie się tym przejął, podobnie jak samochód, który w żaden sposób nie zareagował na wyzwiska zaserwowane mu przez właściciela po kolejnej bezowocnej próbie uruchomienia. Silnik nie zaskoczył, pies nadal szczekał, a człowiek spoglądał bezradnie na bezużyteczne auto, nie wiedząc, co mógłby jeszcze zrobić.

Przez głowę przeleciała mu myśl, by poprosić żonę, by użyczyła mu swojego samochodu, zaraz jednak zrezygnował z tego pomysłu. Żona, a właściwie już była żona, i tak zrobiła dla niego więcej, niż mógłby oczekiwać, i duma nie pozwalała mu na zwrócenie się do niej z kolejną prośbą. Żaden mający bodaj odrobinę honoru mężczyzna nie powinien okazywać, że nie umie poradzić

sobie sam, a już na pewno nie wtedy, gdy winą za rozpad małżeństwa leży po jego stronie.

Mężczyzna ruszył wolno w stronę przystanku autobusowego, po chwili jednak uświadomił sobie, że w tym tempie nie ma najmniejszych szans na dotarcie tam na czas. Czym prędzej przyspieszył kroku i skręcił w boczną drogę wiodącą w stronę lasu. Mniej więcej w jej połowie znajdowała się przecinająca łąkę ścieżka, wydeptana butami młodzieży z uporem używającej tego skrótu mimo sprzeciwów właściciela gruntu.

Dojście do niej nie zajęło mu dużo czasu. Ominął częściowo zamrzniętą kałużę, lecz nagle się zatrzymał. Do zaaferowanego problemami z samochodem Krzyżanowskiego dopiero teraz dotarła informacja przekazana przez oczy, toteż czym prędzej się odwrócił i ponownie spojrzał w tamtym kierunku. Nie, wzrok go nie mylił. Czerwona plama na skraju lasu, ostro kontrastująca z białą zalegającego tam śniegu, nie mogła być niczym innym, jak kurtką okrywającą ciało człowieka.

Marek nie wahał się ani sekundy. Zawrócił i szybko poszedł w tamtą stronę. Praca pracą, ale tam leżał ktoś, kto z pewnością potrzebował pomocy. Nikt przecież nie będzie dobrowolnie wylegiwać się na śniegu w zimie, w dodatku o szóstej rano. Co prawda jak na tę porę roku było wyjątkowo ciepło, nadal jednak w nocy temperatura spadała poniżej zera.

Po przejściu jakichś piętnastu metrów mógł już stwierdzić, że leżący ma na sobie niebieskie spodnie, a po kilku następnych dostrzegł długie jasne włosy rozsypane wokół głowy. Jego wzrok zarejestrował również częściowo schowaną pod ciałem bordową torebkę i wystającą spod niej rękawiczkę, ale Krzyżanowski nie poświęcił tej informacji żadnej myśli. Wystarczyło mu to, co zobaczył wcześniej. Wiedział już, kto leży na śniegu.

Ostatnie metry przebiegł, chociaż w głębi duszy był przekonany, że pośpiech nie ma żadnego sensu. Na kurtce dostrzegł cienką warstwę białego puchu, a dobrze wiedział, że przez ponad godzinę nie spadł ani jeden śnieżny płatek. Mogło to oznaczać tylko jedno – Klaudyna Polczek nie żyje.

Zatrzymał się w odległości półtora metra od dziewczyny i spojrzał uważnie. Leżała na boku z twarzą wbitą w śnieg, lecz gdy kucnął, dostrzegł białko szeroko otwartego oka. Żrenica była dla niego niewidoczna, prawdopodobnie w chwili upadku dziewczyna patrzyła przed siebie, nie miało to jednak większego znaczenia. Żywy człowiek nie wgapia się tak długo nawet w najbardziej interesujący obiekt.

Mężczyzna wyjął z kieszeni komórkę i zadzwonił na komisariat. Jakiś czas trwało, nim dyżurny po zadaniu wielu pytań polecił mu pozostać na miejscu i zaczekać na przyjazd radiowozu. Marek ani myślał się dostosować

do pierwszego nakazu. Miałby stać nad ciałem jak żywy pomnik? Nie ma mowy!

Ruszył w prawo, gdzie w odległości około pięciu metrów leżało zwalone przez wichurę drzewo. Oczyszczył ze złodowaciącego śniegu fragment pnia i usiadł, naciągnąwszy uprzednio kurtkę tak, by prócz pośladków zakryła także fragment ud, osłaniając je przed dotykiem zimnego drewna.

Wyjął z kieszeni pudełko papierosów, zapalił, po czym ponownie wyjął telefon i zadzwonił do zakładu pracy, by donieść szefowi, że raczej nie powinni dzisiaj się go spodziewać. Z oglądanych często seriali kryminalnych wiedział, że trochę potrwa, nim policja pozwoli mu odejść. Wcale zresztą mu na tym nie zależało. Wolałby zostać tutaj nawet do wieczora, gdyby to gwarantowało uzyskanie informacji, w jaki sposób Klaudyna zmarła i czy przypadkiem nie było to morderstwo.

Marek Krzyżanowski nie był złym człowiekiem, co nie oznaczało, że nie ma żadnych wad. Nie grzeszył punktualnością, lubił upierać się przy swoim zdaniu nawet wtedy, gdy nie miał racji, w trakcie trwania małżeństwa kilkakrotnie zdarzyły mu się skoki w bok, no i był ponad miarę ciekawski. Dlatego postanowił zrobić wszystko, by się dowiedzieć, dlaczego Klaudyna Poloczek znalazła śmierć na skraju lasu.



Policjanci pojawili się pół godziny później. Znał ich wszystkich, toteż śmiało podszedł do szczupłego, niewysokiego mężczyzny.

– Panie komendancie – odezwał się cicho – to Klaudyna. Córka tej Poloczkowej, co sprząta w gminie...

Wysoki, przystojny sierżant przerwał mu szarpnięciem za ramię.

– Co powiedziałaś? To Klaudyna? O kurwa!

Zrobił ruch, jakby miał zamiar złapać się za głowę. Jego wzburzenie było tak wyraźne, że stało się oczywiste, iż denatka nie jest dla niego obcą osobą.

– Coś cię z nią łączyło? – zapytał go komendant. – Przecież to smarkula. Była w ogóle pełnoletnia? Gabriel! Słuchasz mnie?

– Przepraszam. – Funkcjonariusz potrząsnął głową jak człowiek pragnący wydobyć się z otępienia wywołanego koszmarnym snem. – Nie mogę uwierzyć, że to ona.

– Pytałem, co cię z nią łączyło – powtórzył przełożony już ostrzej. – Czekam na odpowiedź.

– Z nią nic – oparł przygnębiony sierżant. – Jestem zaręczony z jej siostrą.

Wyminął komendanta i zrobił kilka kroków w stronę leżącej dziewczyny, nie podszedł jednak całkiem blisko. Zatrzymał się w pewnym oddaleniu i stamtąd przyglądał się miejscu zbrodni. Nazwał je w ten sposób, gdyż był pewien, że Klaudyna nie zmarła śmiercią naturalną.

Miała dopiero osiemnaście lat i cieszyła się doskonałym zdrowiem.

– Może to korona? – doszedł go głos posterunkowego Zielińskiego.

– Idiota – mruknął pod nosem, zastanawiając się, po co nadkomisarz Skorek trzyma na komisariacie tego głąba. Korona! Też coś. Wczoraj dziewczyna była całkiem zdrowa i nagle tak się rozchorowała, że w ciągu kilku godzin zmarła? I poszła umrzeć do lasu, żeby nie robić bliskim kłopotu?

– Tokarz! Chodź tutaj.

Niechętnie usłuchał wezwania aspiranta Klonowicza, od pewnego czasu rządzącego się tak, jakby to on, a nie nadkomisarz Skorek był komendantem komisariatu. Klonowicz stał w towarzystwie Skorka i aspiranta sztabowego Ścieszki i zawzięcie z nimi dyskutował.

– Słucham?

– Doszliśmy do wniosku, że jesteś z denatką zbyt mocno związany emocjonalnie. Wracaj na komisariat – polecił komendant. – Bez dyskusji – dodał, gdy sierżant zaczął protestować. – Idź powiadomić rodzinę. Znasz ich, więc będzie ci łatwiej.

Tokarz przełknął soczystą kurwę, odwrócił się i jeszcze raz popatrzył na martwą dziewczynę. Potem przesunął wzrok na leżącą obok ciała torebkę i wystającą spod niej czarną rękawiczkę i wolno ruszył w stronę radiowozu.

– Będzie ci łatwiej – powtórzył cicho. – Akurat!

15 kwietnia 2020, Strzygom

Nadkomisarz Szymon Ogiński zdziwionym spojrzeniem ogarnął leżące na kuchennym stole noże. Było ich mnóstwo, różnego rodzaju, kształtu i wielkości, a Medard Ratier właśnie wziął do ręki jeden z nich i uważnie przyglądał się ostrzu.

– Cześć, Ratio. Szykujesz się na front?

Chłopak uniósł głowę, a zobaczywszy gościa, wykrzywił twarz w grymasie udawanego gniewu.

– Siema, Ogi. Nie słyszałeś o takim wynalazku jak dzwonek? Tylko burak wchodzi bez zaproszenia.

Odłożył nóż, zacisnął prawą dłoń w pięść i wziął zamach, po czym opuścił ją łagodnie i podstawił do żółwika.

Po przywitaniu Ogiński przysunął sobie krzesło, usiadł i spytał z nieskrywanym zaciekawieniem:

– Po co ci te wszystkie noże? Jeżeli masz zamiar wypowiedzieć strygomianom wojnę, lepszy byłby nebelwerfer.

Ratio zmarszczył brwi w zastanowieniu, lecz prawie natychmiast się rozpogodził.

– Nebelwerfer? Z tego, co pamiętam, to taki moździerz z drugiej wojny światowej. A nie lepsza byłaby maczuga? Chłopie, gdzieś ci uciekło osiemdziesiąt lat. Poza tym mieszkańcy Strzygomia to twardy ludek, na nich trzeba prawdziwej wunderwaffe czy jakiejś supermocy. Chociaż i tak uważam, że takiej Mirabelki nie pokonałoby nawet wystrzelenie z oczu strumieni ognia.

Wstał i zakrzętnął się przy ekspresie, cały czas przemawiając do policjanta w swój zwykły, nieco kpiący sposób. Polubił nadkomisarza, choć pół roku temu nie uwierzyłby, gdyby ktoś mu powiedział, że zaprzyjaźni się z jeszcze jakimś policjantem. Dotychczas jedynie Diona zyskała sobie jego zaufanie, przyjaźń i bezwarunkową lojalność, ale też nikt w całym życiu nie zrobił dla niego tyle, co ona.

Postawił przed Szymonem kubek kawy, usiadł i ponownie wziął do ręki wielki nóż. Obejrzał ostrze pod światło, skrzywił się i sięgnął po osetkę. W pomieszczeniu rozległ się rytmiczny, zgrzytliwy odgłos.

Ogiński popatrzył z wyrzutem i zatkał uszy rękami.

– Musisz teraz? Zęby mi drętwią od tego bruszenia. Diona jeszcze nie wróciła?

Medard westchnął demonstracyjnie i odłożył osetkę.

– Dzisiaj będzie trochę później. Garrett prosił ją, żeby została po pracy, mają omawiać jakąś strategię. Czyżbyś się stęsknił? Bo dawno cię tu nie widziałem.

Zerknął ciekawie na policjanta. Szymon przesunął kubek na skraj stołu i oparł łokieć prawej ręki na blacie. Lewą wybrał jeden ze średniej wielkości noży, zważył go w dłoni i nagle bez ostrzeżenia wziął zamach, a gdy kompletnie zaskoczony Ratio się odwrócił, zobaczył tylko lekko drgającą rękojęść. Nieruchome ostrze tkwiło w samym środku serca wytłoczonego na zwisającej z relingu desce do krojenia.

– Zgadłeś – przyznał Ogiński. – Byłem na szkoleniu w Szczytnie i cholernie się stęskniłem. Ale jeżeli jej o tym powiesz, znowu rzucę nożem. Tylko wtedy celem nie będzie deska.

Ratier popatrzył na niego z niedowierzaniem, potem parsknął śmiechem.

– Nie strasz, nie strasz, bo się zesrasz. Inna sprawa, że kurewsko pięknie to zrobiłeś. Szacun! Gdzie się nauczyłeś tak miotać? Słyszałem o jednym gostku, który też tak umiał, ale on robił poza prawem. Miał ksywę Kojot.

Szymon wykazał umiarkowane zaciekawienie.

– Tak? Jakoś mi się nie obilo o uszy.

– Bo pewnie ktoś go wyłączył albo siedzi w pierdlu. Albo poszedł na złodziejską emeryturę. Teraz już jest stary, ma chyba ze trzydzieści pięć... – Ratio urwał i spojrzał na gościa ze skruchą. – Chodziło mi o to, że jest za stary do tej roboty, nie ogólnie.

Dobijający do trzydziestu pięciu lat nadkomisarz prychnął, rozbawiony nieudolną próbą zamaskowania niezręczności.

– Dyplomatą to ty nie masz szans zostać. Ale nie przejmuj się, wcale nie czuję się zraniony do głębi. O której Diona wróci? Bo nie wiem, czy zaczekać.

– A czekaj sobie – zezwolił łaskawie Ratier, który prędzej dałby sobie odciąć rękę, niż przyznał, że rozmowa z policjantem sprawia mu przyjemność. – Jakoś to zniosę.

Ogiński dopił kawę, przepłukał kubek i postawił na ociekacz. Potem podniósł pokrywkę jednego ze stojących na piecu garnków i głęboko wciągnął nosem powietrze. Intensywny aromat rosółu natychmiast podrażnił mu kubki smakowe, a w pustym żołądku głośnie zaburczało.

– Mogę odrobinę? – spytał niemal błagalnie.

Ratio skinął głową, zaraz jednak zaprzeczył temu gestowi, odpowiadając burkliwie:

– Trzeba było nażreć się w domu. Nie prowadzę jadłodajni jak Mirabelka.

– Nie mogłem, bo przyjechałem tu prosto z drogi – odpowiedział Szymon i z żalem odłożył talerz, który zdążył już wziąć do ręki. – Zresztą w domu nie mam nawet chleba. Nie byłem tam od ponad tygodnia.

– Żona nie mogła zrobić zakupów?

– Jaka żona? – zdumiał się policjant. – Nigdy nie byłem nawet zaręczony, a co dopiero żonaty. Zgłupiałeś, Medard?

Chłopak wyraźnie się zmieszał; umknął wzrokiem w bok i zabębnił palcami po stole, co w jego przypadku oznaczało konsternację lub zażenowanie. Lub jedno i drugie równocześnie. Ogiński przyjrzał mu się z namysłem, usiłując zrozumieć jego dziwaczne zachowanie. Nagle go olśniło.

– Chodzi ci o Dionę, prawda? Sprawdzasz mnie, bo nie chcesz, żeby wpakowała się na minę. A to oznacza, że ona też... Dzięki, chłopaku.

Ratio przestał wpatrywać się w swoje palce i zerknął niepewnie na nadkomisarza. Na widok jego zadowolonej miny odpowiedział uśmiechem.

– Nie wiem na pewno, czy ona... Ale jakoś często o tobie mówi, a kiedy dzwoni, ma taką minę jak pijak na widok flaszki.

– Piękne porównanie, takie subtelne.

Jak zwykle w rozmowie z Ratiem Szymon przybrał lekko ironiczny ton, lecz podchodząc do stołu, położył na chwilę rękę na ramieniu podopiecznego Diony, okazując w ten sposób sympatię. Chłopak znów na niego spojrzał, wstał i podał mu talerz.

– Trzymaj. Tę zupę trzeba najpierw podgrzać. Tylko zboczeniec je zimny rosół. Ile to już trwa? Od twojego przyjazdu do Jasienia czy dłużej?

Ogiński nie miał problemu z rozszyfrowaniem odpowiedzi, choć Ratier nie zrobił żadnego odstępów między stwierdzeniem a pytaniami. Gdyby te ostatnie zadał ktoś inny, policjant bez zastanowienia powiedziałby mu w dosadnych słowach, co myśli o podobnym wścibstwie. Me-darda natomiast traktował jak młodszego brata Dionizy, uznał więc, że chłopak zasługuje na szczerość.

– Od końca lipca. Wpadłem tu kiedyś późnym wieczorem, żeby się pokajać, a ona miała na sobie pełno zielonych królików. Wobec takiego widoku każdy facet byłby bezradny.

Ratio wspomniał ulubioną pizamę Diony, z zielonymi króliczkami na jadowicie żółtym tle, i nie zdołał zachować powagi. Zaraz jednak się opanował.

– Od lipca?! Człowieku, przecież jest połowa kwietnia. Dziewięć miesięcy się zastanawiasz, jak zagadać?

Szymon dopiero teraz uprzytomnił sobie, że rzeczywiście minęły już trzy kwartały. Westchnął.

– To nie takie proste. Przedtem powinienem jej opowiedzieć o sobie, a nie mam odwagi – powiedział szczerze. – Nie tylko ty masz ciemne plamy na życiorysie.

W oczach chłopaka błysnęła ciekawość, lecz Ratier o nic nie zapytał. Przeniósł garnek z gorącym rosółem na stół, podał miskę z makaronem, a gdy Ogiński zaczął jeść, rzucił pozornie bez zważku:

– Diona nie jest bez wad.

– Nikt nie jest – usłyszał w odpowiedzi. – I co z tego?

– Jest cholernie uparta – ciągnął Ratio, jakby tamte słowa nie padły. – Jest też niecierpliwa i kieruje się impulsami. Łatwo ją wkurzyć, a wtedy potrafi zbluzgać od ostatnich. Ale nie umie pielęgnować urazy i ma dużo zrozumienia dla ludzkich błędów.

Szymon jadł w milczeniu; żadne słowa nie były tu potrzebne. Zresztą oceniał dziewczynę podobnie i jego przeszłość wcale nie była głównym powodem powściągliwości. Jednak o drugiej przyczynie nie zamierzał nikomu mówić. To mógł wyznać tylko Dionizie.

Uprzątnął po posiłku, zaparzył dwie herbaty i popatrzył na zgromadzony na rogu stołu arsenał. Potem wziął na ręce domagającego się pieśszczot kocurka i wtulił twarz w lśniące, miękkie futerko.

– Po cholerę ci te noże? – wrócił do początku rozmowy. – Planujesz zostać seryjnym mordercą?

– Mniej więcej – odparł Ratio z tajemniczą miną. – Wymyśliłem do gry postać, która miota nożami, ale brakuje mi wiedzy praktycznej. Na przykład nie wiem, czy do tego celu potrzebny jest jakiś specjalny egzemplarz, czy można rzucić każdym.

Podłożył się idealnie, a Ogiński nie zwykł marnować okazji.

– Rzucić możesz nawet nożem piłką. Zakazu nie ma. Chyba że chcesz go w coś wbić.

– Ogi! Wiesz, o co mi chodziło.

– Dobra, nie spinaj się tak. Rzucać do celu możesz wszystkim, co jest ostre na tyle, że się wbije. Może to być duży gwóźdź, śledź od namiotu czy nawet pilnik ze szpi-cem. – Szymon ponownie spojrzał na róg stołu. – Każdy z nich się nada. Kształt czy ciężar ma znaczenie o tyle, że przy stałej odległości musisz użyć różnej siły. Mogę cię nauczyć, ale to nie dzisiaj. Po ciemku gównem z tego wyjdzie, a nie chcemy Dionie zdemolować kuchni.

– Lepiej zróbcie Dionie kawy – rozległ się od drzwi głos gospodyni.

Zaaferowani omawianym tematem nie zauważyli jej powrotu. Szymon wstał, żeby się przywitać, a potem wzruszył ramionami na widok grymasu politowania, jakim Ratio przyjął ich konwencjonalny uścisk dłoni. Bardzoż zmartwił go cień zawodu w oczach dziewczyny, ale chwilowo nie mógł nic na to poradzić.

– Przyjechałem tu prosto ze szkolenia – powiedział, jakby to mogło usprawiedliwić jego powściągliwość. – Mam pilną sprawę, a nie chciałem omawiać jej przez telefon, bo najpierw jechałem z innym policjantami, a od Żywca była na drodze taka mgła, że wolałem się nie rozpraszać.

– Okej, rozumiem. – Ton Diony stał się oficjalny. – Co to za sprawa?

– Robota dla detektywa. Niestety nie u nas, tylko w Bystrzycy Wielkiej.

Remańska skrzywiła się lekko.

– Niby niedaleko, ale z godzinę trzeba jechać, a ja teraz nie dostanę urlopu. Co trzeba zrobić?

Ogiński sięgnął do kieszeni koszuli i wydobył złożoną na czworo kartkę zapisaną gęsto drobnym pismem.

– W lutym znaleziono tam zwłoki jednej z mieszkanek. Klaudyna Poloczek, uczennica liceum, lat osiemnaście. Przedawkowała kompot.

Diona odebrała od Ratiera kubek z kawą, lecz nie upiła ani łyka. Odstawiła naczynie i odchyliła plecy na oparcie krzesła.

– Dalej biorą to świństwo? Myślałam, że teraz modniejsza jest amfa.

– Może i modniejsza, ale droższa, a ludzie mają coraz mniej pieniędzy. – Szymon niespodziewanie zaklął i zwał dłonie w pięści. – Możecie mnie nazwać idiotą, bo ja naprawdę wierzyłem w dobrą zmianę. A potem usiłowałem usprawiedliwiać każde ich działanie, dorabiałem wyższą ideologię, tłumaczyłem sobie racją stanu... Dopiero pandemia otworzyła mi oczy i zobaczyłem, że ojczyzna znaczy dla nich tyle, ile mogą się dzięki niej nachapać.

– Spoko – mruknął Ratier. – Przekonania polityczne są jak dupa. Każdy ma swoją i nikomu nic do tego.

– Wiem, że im wierzyłeś – dorzuciła Diona i pogłaskała kota łaszącego się do jej nóg. – Ratio dobrze powiedział. To był twój wybór. Powiedz lepiej, co z tą dziewczyną. Chodzi o poszukanie diler? W takim razie mogę poddać się już teraz, bo nie wierzę w powodzenie.

– Tyle to i ja wiem – burknął Ogiński. – Chodzi o zupełnie coś innego.

Z opowieści Szymona wynikało, że Klaudyna Poloczek niczym szczególnym się nie wyróżniała. Przeciętnej urody i inteligencji, była raczej lubiana przez rówieśników, choć nie należała do żadnej paczki. Według rodziców nie miała chłopaka, nie była też zamieszana w żadną uczniowską aferę mogącą być przyczyną celowego przedawkowania.

– Rozumiem – mruknęła Dioniza po wysłuchaniu tej krótkiej charakterystyki. – Ale może zacznij od początku. Kto chce zlecić tę robotę? Rodzice?

– Rodzice nie mają zbyt wielu pieniędzy. Płatnikami będą siostra i jej narzeczony. To policjant. Sierżant Gabriel Tokarz służy w tamtejszym komisariacie i w razie czego dyskretnie pomoże.

– W takim razie nie rozumiem. Dlaczego sam się tym nie zajmie?

Nadkomisarz już otwierał usta, lecz Ratier nie dopuścił go do głosu. Wylał zimną kawę i kategorycznym tonem oznajmił, że jeśli Diona natychmiast nie zabierze się do jedzenia, on przestanie zajmować się przyrządzaniem posiłków. Na takie dictum dziewczyna nie znalazła kontrargumentu, tym bardziej że coraz bardziej ssała ją w żołądku.

Po posiłku zaproponowała, by przenieśli się do pokoju, lecz żaden z mężczyzn nie wyraził ochoty na zmianę lokalizacji. Ratio wyjaśnił, że jest zajęty robieniem świeżej kawy, a Szymon wskazał na swoje ramię, gdzie umościł się czarny kot noszący imię Uszek – miano to zawdzięczał białym koniuszkom uszu.

Diona także lubiła przesiadywać w kuchni, toteż nie zamierzała się z nimi wyklócać. Rozsiała się wygodnie i poprosiła Szymona, by kontynuował. Ten pogłaskał kota i podjął opowieść.

– W torebce Poloczek ujawniono list pożegnalny, w którym dziewczyna informuje, że nie chce żyć, bo

jej ukochany znalazł sobie inną dziewczynę. W dodatku dawka zaaplikowanego narkotyku była tak wielka, że praktycznie można wykluczyć pomyłkę. Te przesłanki sprawiły, że zgon zakwalifikowano jako samobójstwo.

– On się z tym nie zgadza? Ten Tokarz?

– No właśnie. Naraził się nawet komendantowi, bo upierał się przy zabójstwie i chciał, żeby śledztwo było kontynuowane.

Remańska sięgnęła po kubek, upiła kilka łyków i zapatrzyła się niewidzącym wzrokiem w jakiś punkt pomiędzy Ogińskim a boczną ścianą, sprawiając wrażenie kogoś, kto przebywa w alternatywnej rzeczywistości. Naraz drgnęła i spojrzała całkiem przytomnie.

– Jak na razie nie widzę żadnych uchybień. Ale jeśli twój kolega nie zgadza się z ustaleniami, coś musi być na rzeczy. Jednak chłopak? Zawód miłosny? Może kłopoty w szkole? – rozmyślała głośno. – Rodzice niekoniecznie musieli wiedzieć o wszystkim, ale koleżanki już tak, więc raczej nie o to chodzi. Hm, jedyne, co mi przychodzi na myśl, to jakiś problem z listem pożegnalnym.

Nadkomisarz uniósł kciuk w wyrazie uznania.

– Trafiłaś. Naprawdę jesteś dobra – pochwalił i opowiedział o tym, co zaniepokoiło sierżanta.

List nie był napisany odręcznie, tylko wydrukowany, a jak Tokarz dobrze wiedział, Poloczkowie mieli wtedy zepsutą drukarkę. Musiałyby wydrukować to w szkole lub u kogoś znajomego, ale bezpośrednio przed śmiercią nie

odwiedzała nikogo oprócz najbliższej koleżanki. Angela Mirska jednak stanowczo zaprzeczyła, by Klaudyna prosiła ją o udostępnienie sprzętu, z kolei w szkole akurat nie mieli zajęć wymagających uruchomienia drukarki. Z tego wniossek, że napisała list wcześniej.

Diona pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Czyli co? Tak z nim chodziła i czekała sposobnej chwili? Nieprawdopodobne. Jeśli faktycznie chłopak ją zdradził, to powinna była zabić się od razu, a nie czekać na Bóg wie co. Podpis też był wydrukowany?

– Też. Zero ręcznego pisma, a ona podobno nie zaliczała się do tych, co wszystko robią przy użyciu komputera. W dodatku podpisała go „Klaudia”, a nikt z rodziny ani sąsiadów tak jej nie nazywał. Dla nich zawsze była Klaudyną.

– Skąd w takim razie ta Klaudia?

– Tak ją nazywali w ogólniaku. Może jeszcze jacyś znajomi z Żywca, ale rodzina niestety nie ma pojęcia, kto by to mógł być i czy w ogóle istnieli jacyś pozaszkolni znajomi.

Dziewczyna wzięła do ręki łyżeczkę po kawie i nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, rysowała nią po czole jakieś znaki. Pozostał po nich brązowy ślad.

– Nie sądzę, żeby to się mogło udać – powiedziała nagle i ze zdumieniem popatrzyła na trzymany w dłoni przedmiot. Odłożyła łyżeczkę i dokończyła: – Niby jak miałabym obejść zakaz przemieszczania się? Przecież

tamtejsi policjanci od razu mnie przyuwają i na pewno nie będą zadowoleni, że podaję w wątpliwość ich ustalenia. Nie mam na zbyciu trzydziestu tysięcy. Chyba że twój kolega da mi forszę na mandat.

Policjant usiłował jej przerwać, lecz nie dopuścił go do głosu. Za to teraz, gdy zakończyła swą przemowę, mógł zwrócić jej uwagę na ewidentny błąd w założeniach.

– Diona, czy ty nie oglądasz żadnych wiadomości?

– Nie oglądam – przyznała z uśmiechem. – W dodatku nie czytam i nie słucham. Nie mam zdrowia do tych bredni.

– Błąd – wytknął jej Ratio. – Przez to nie jesteś na bieżąco. Od poniedziałku zakaz przemieszczania się przestanie obowiązywać.

Ogiński z zadowoleniem zauważył w jej oczach znajomy błysk, świadczący o zainteresowaniu, i zyskał pewność, że Gabriel Tokarz dostanie odpowiedź pozytywną. Diona połknęła haczyk.